

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 49.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 20 sierpnia 1860.
1 września
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartalnie rsr. 3 — Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM II.

TREŚĆ NUMERU.

Feliks Bentkowski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Wspomnienia z wycieczek po Galicyi, Bukowinie i Mołdo-Wołoszczyźnie (z trzema drzeworytami) dokonczenie. — Jak się u nas tworzą podania. — Pan Jacek Brzuchanski, opowiadanie wierszem Józefa Szujskiego (dalszy ciąg). — Rozmaitości. — Korrespondencya od redakcyi. — Sprostowanie. — Do ludzi, poezya. — Pałac i kaplica fundacyi hetmanowej Aleksandry Oginski w Siedlech (z drzeworytem). — Szachy i rebus.

OD REDAKCYI.

Tygodnik Ilustrowany wychodzić będzie i w następnym kwartale, na tych samych warunkach i w tym samym jak dotąd zakresie i kierunku.

Ponieważ nakład pierwszego kwartału Tygodnika zupełnie został wyczerpany, przeto wydawca, dla dogodności nowych prenumeratorów, pragnących mieć komplet tego pisma, przygotował powtórne wydanie czterestu początkowych numerów w takiej ilości, że może już dziś zadosyć uczynić wszelkim pod tym względem żądaniom.

Cena Tygodnika wynosi w Warszawie:

rocznie	8 rsr. — kop.
półrocznie	4 „ — „
kwartalnie	2 „ — „
miesięcznie	— „ 67½ „

Na prowincyi i w cesarstwie:

rocznie	12 rsr.
półrocznie	6 „
kwartalnie	3 „

Prenumeratorowie z cesarstwa, otrzymujący tylko sam Tygodnik, płacą kopertowe od każdego egzemplarza rs. 2 rocznie, czyli kop. 50 kwartalnie. Tym więc prenumeratorom, którzy dotąd nie uiścili rzeczonyj opłaty, przypominamy dopełnienie tego, tak za ubiegłe kwartały, jak i nadal.

Upraszamy najusilniej łaskawych prenumeratorów, ażeby nadsyłając prenumeratę bez opłaty kopertowej, raczyli zawiadamiać, przy którym z warszawskich pism opłacona jest koperta, a to dlatego, żeby redakcyja wiedziała do kogo odwołać się w kwestyi kopertowego.

Szanowni prenumeratorowie na prowincyi zechcą zapisywać się wcześniej na stacyach pocztowych, od tego bowiem zależeć będzie głównie regularny odbiór pierwszych numerów z kwartału następnego.

Zażalenia z powodu spóźnionego albo w złym stanie odbioru Tygodnika, chociaż to nigdy z winy redakcyi nie pochodzi, nadsyłane pod jej adresem; ulica Krakowskie-Przedmieście Nr. 39 1, załatwiane będą z jaknajwiększym pośpiechem.

W końcu ponawiamy uczynione już kilkakrotnie wezwanie do życzliwych wydawnictwu naszemu rodaków, ażeby przesyłać nam raczyli opisy i rysunki lub fotografie ciekawych miejscowości, pamiątek historycznych, dzieł sztuki, scen z życia ludowego, oraz wypadków bieżących w różnych okolicach kraju, jakimi są na przykład: poświęcenia pomników, zakładów dobroczynnych lub przemysłowych, uroczystości religijne, rolnicze i t. p., za które wydawca, na żądanie nadsyłających, gotów jest udzielać stosowne honorarya.

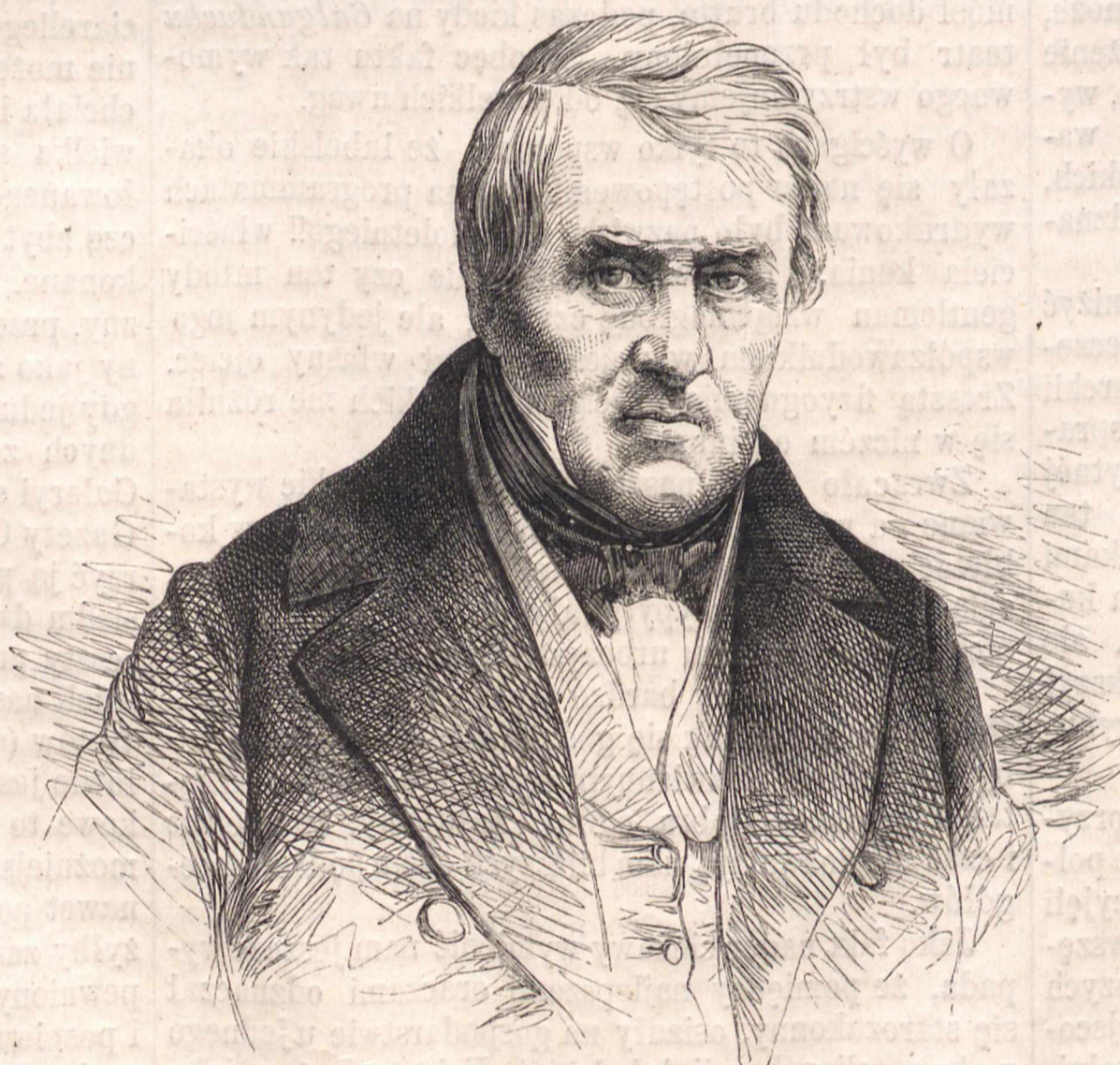
W Warszawie, skończył je zaś w pojezuickich. Kiedy po podziale kraju młodzież nasza pozbawiona została sposobności wyższego kształcenia się, Bentkowski przyjął obowiązki nauczyciela domowego u Ignacego Tiede, pełnomocnika arcybiskupa gnieźnieńskiego w Skierniewicach, gdzie lat trzy zostając, korzystał z zamożnej tamecznej biblioteki, dla oznajomienia się z dawną literaturą ojczystą.

Czując potrzebę akademickich nauk, w roku 1800 udał się do Züllichowa pod Frankfurtem nad Odrą, i tam, po złożeniu egzaminu, miał sobie powierzonym wykład języka polskiego. W r. 1802 przeszedł do uniwersytetu w Halli saskiej, otrzymawszy zasiłek od rządu na koszt podróży. Tu mianowany lektorem języka polskiego, wykładał zarazem naukę tego języka i historią literatury polskiej. Po dwóch latach pobytu w Halli, wezwany został na nauczyciela do liceum warszawskiego, gdzie przez lat 14 zostawał, aż do chwili powołania go na zastępcę profesora uniwersytetu warszawskiego, do wykładu historii powszechniej. Następnie mianowany był profesorem zwyczajnym nauk historycznych, oraz dziekanem wydziału nauk i sztuk pięknych.

Wykład z katedry Bentkowskiego odznaczał się jasnością i dobitnością, a sumienne jego prace literackie dają mu prawo do wdzięcznej pamięci potomnych.

Ogłosił drukiem: 1) *Wypisy z języka łacińskiego przez Fr. Gedykie ułożone, a do użycia Polaków zastosowane.* Warszawa 1806—1809. 2) *Wiadomość o najdawniejszych książkach drukowanych w Polsce, a w szczególności o tych, które Jan Haller w Krakowie wydał.* Warszawa 1812. 3) *Historja literatury polskiej, w spisie dzieł drukowanych wystawiona.* Warszawa 1814 roku. 2 tomy. 4) *Wstęp do historyi.* 1821. 5) *Rys nauk historycznych dla słuchaczy akademickich.* 6) *Spis medalów polskich lub z dziejami krainy polskiej stycznych.* 1830 roku. 7) *O znakach pisarskich 1830.* 8) *Guizota dzieje cywilizacyi europejskiej.* 1842 roku. 2 tomy.

Przez lat siedm, od roku 1815 do 1821, wydawał *Pamiętnik warszawski* i był jego głównym redaktorem. Wezwany na stałego korespondenta do *Allgemeine Literatur-Zeitung*, od r. 1806 do 1820 umieszczał tam rozbiory i wiadomości naukowe dotyczące



FELIKS BENTKOWSKI.

Feliks Bentkowski.

Do grona najzasłużeńszych profesorów b. uniwersytetu warszawskiego, należy niezaprzeczenie Feliks Bentkowski, urodzony dnia 27 maja 1781 r. w mieście Lubartowie.

Pierwsze nauki pobrał w szkołach księży pija-

literatury i oświaty w Polsce. Wiele także rozpraw téjże treści ogłosił w programmatach uniwersyteckich od 1818 do 1827 r.

Jako członek b. Towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk, od uniwersytetu krakowskiego zaszczyconym został godnością doktora filozofii. Towarzystwo naukowe krakowskie zaprosiło go na członka korespondenta, a Towarzystwo naukowe plockie na swego opiekuna.

Do połowy roku 1830 wykładał swój przedmiot z katedry, a do 1833 r. sprawował obowiązki dyrektora gabinetu numizmatycznego. Otrzymał emeryturę, w r. 1838 mianowany został naczelnikiem głównego archiwum krajowego, który to urząd sprawował aż do śmierci. Umarł dnia 23 sierpnia 1852 r. na grassującą wtedy cholere. Pochowany na cmentarzu powązkowskim.

Najważniejszą z prac Bentkowskiego jest *Historja literatury polskiej*, która głównie dała mu rozgłos. Dzieło to ważny w piśmiennictwie naszym stanowi okres, zwróciło bowiem uwagę na zabytki literatury dawniej i obudziło gorące zamiłowanie do ich zbierania. Popęd ten piękny i szlachetny, jaki dał Bentkowski swoim dziełem, bujne wydał owoce. Jeżeli dziś możemy się pochłubić, żeśmy poznali i zgłębili bogaty skarbiec dawniej literatury ojczystej, to Bentkowskiemu w znacznej części należy się za to wdzięczność.

Praca jego, pomimo że pół wieku z górą upłynęło jak ogłoszona została, i że wielu innych późniejszych w tym samym rodzaju pisarzy dokładniejszy dało nam obraz literatury starożytnej, nie straciła na swojej wartości i zarówno zawsze jest ceniona, jako dzieło podręczne a niezbędne każdemu badaczowi.

K. Wł. W.

Kronika tygodniowa.

Z Lublina.

Przedewszystkiem muszę wam, szanowni czytelnicy, opisać miejscowość, w której zrodziła się dzisiejsza Kronika tygodniowa.

Wystawcie sobie pokoik mały, wązki a niski, napół wpadnięty w ziemię, coś niby piwniczka, z widokiem z jednej strony na stajnię, w której stoją dwa barany i koza, z drugiej na śmietnik, który się stał tymczasowem mieszkaniem kokosz; wystawcie sobie w tym pokoiku kronikarza siedzącego na stołku połamany, pomiędzy kuferkim który mu służy za pulpit, a stolikiem który za nic mu służyć nie może, bo nie ma blatu, a będziecie mieli słabe wyobrażenie o wygodach waszego sprawozdawcy. Powtarzam, wystawcie sobie to wszystko w bujnej wyobraźni waszej i wybaczone jeżeli opis uroczystości lubelskich, który staram się wam skrócić, nie będzie się odznaczał świetnymi przymiotami pisarskimi.

Niech jednak nikt nie myśli że chcę tém poniżyć Lublin, miasto piękne, ludne i stojące niezaprzeczenie na drugim miejscu po Warszawie w hierarchii miast polskich. Owszem, Lublinowi oddaję całą sprawiedliwość, miłowałem zawsze ten gród starożytnej powierzchowności, o odwiecznych gmachach, ten gród przemawiający do serca naszego pamiętkami dziejowemi. Nie Lublin więc winien, że piszę na kufierku, a kurnik za jedyny krajobraz mi służy, ale zjazd nader liczny, który na kilka dni powiększył znacznie zwykłą liczbę mieszkańców starego trybunalskiego miasta.

Pomimo jednak osobistej mojej niewygody, przyznać muszę iż mieszkańcy Lublina z prawdziwie polską gościnnością ten napływ przybyszów przyjęli u siebie. Miasto przystroiło się odświeżnie, a wszędzie panował ład i porządek, jaki nawet w większych od Lublina miastach niezawsze się spotyka. Miejscowości gdzie odbywały się wystawy tak płodów rolniczych jak zwierząt domowych i narzędzi gospodarskich umiejętnie były wybrane. Nie żądajcie jednak odemnie szczegółowego opisu tych wszystkich osobliwości, z przykładową bowiem skromnością wyznaję, że nie znam się na tém: widzę że wół jest tłusty a koń ognisty, podziwiam wielkość kłosów żytnich i estetyczne kształty ogrodowizn różnych, ale więcej już o tém wszystkim wypowiedziećbym nie umiał. W każdym jednak razie zwrócić muszę uwagę na co-

raz większe doskonalenie się wyrobów włociańskich i sądzę iż zachęta tym wyrobom nadana niemałe w przyszłości przynieść może korzyści. To samo powieścić należy i o okazach jedwabnictwa krajowego, bo można tam było oglądać nietylko przędze, ale i wyroby z nich. Lubownik mistycyzmu wyciągnąłby może jakie wnioski z tego nagromadzenia lnu, konopi i jedwabiu, leżących przy sobie na wystawie lubelskiej; ale ja, nie wdając się w dalsze rozumowania, wolę przejść do opisu fizyognomii życia miejskiego, które stanowić winno właściwe tło kroniki.

Ci, co siedząc na estradzie cukierni Semadeniego, który jak wiadomo jest Tortonim lubelskim, przypatrywali się ztamtąd wracającym z wyścigów, mogli mieć choć słabe wyobrażenie o gorączkowym ruchu jakiemu w tych dniach kilku miasto ulegało. Turkot karét, bryczek, powozów na ulicach był nieustanny, co dziwne sprawiało wrażenie w tym Lublinie, tak zazwyczaj cichym i spokojnym.

We wtorek w resursie lubelskiej miał miejsce bal dla ubogich, i obszerny jej lokal okazał się za szczupłym na pomieszczenie znacznej liczby osób która się tam zgromadziła. Wszyscy, tak miejscowi jak i goście, posłali na tę zabawę swoich przedstawicieli. Można było tam spostrzedz mnóstwo dam przywykłych do królowania w salonach warszawskich; ale najwięcej zwracały na siebie uwagę piękności miejscowe, których żadne może miasto, nietylko prowincjonalne ale nawet stołeczne, nie posiada tak liczne go i dobrane orszaku. Chciałbym szczerze władać choć na chwilę zręcznym piórem kronikarza paryskich, żeby tę zabawę opisać w całym blasku ogólnego ożywienia jakie tam panowało. Jedna mianowicie nastęrcza mi się uwaga, na całym tém zebraniu, ani w ubiorach, ani w ogólnem zachowaniu się nie znać było najmniejszej koteryjności. Żadnych nie widzieliśmy odcieni, owszem uderzała w oczy ogólna jednolitość i harmonia. Bal ten był niejako dopełnieniem owych zajęć poważnych dla ogólnego dobra, którym zjazd w Lublinie był poświęcony. Nie zabawę więc chwale, ale sposób pojmovania jej.

Zaujemy że przyspieszony wyjazd nie dozwolił nam zebrać bliższych szczegółów o koncercie pana Wieniawskiego, którym artysta ten pragnął uczcić rodzinne swoje strony.

Były i inne koncerty, i teatr pana Ratajewicza, chociaż przedstawienia jego smutny bardzo fakt nastęrczają nam pod pióro. Podczas najlichnieszego zjazdu dawano tragedją Małeckiego *List żelazny*, a zaraz nazajutrz znany melodramat *Galganduch*. Owóz *List żelazny* za ledwie trzydzieści rubli przyniósł dochodu brutto, podczas kiedy na *Galganduchu* teatr był przepelniony. W obec faktu tak wymownego wstrzymujemy się od wszelkich uwag.

O wyścigach to tylko wspomnę, że lubelskie okazały się nader postępowemi, bo na programmatach wydrukowane było nazwisko siedmioletniego! właściciela konia. Nie wiem dokładnie czy ten młody gentleman wziął nagrodę czy nie; ale jedynym jego współzawodnikiem w prześcigu był własny ojciec. Zresztą fizygnomia wyścigów lubelskich nie różniła się w niczem od innych.

Zwracało także naszą uwagę zajęcie jakie wystawiane na widok publiczny przedmioty budziły w kobiętach. Wszędzie ich prawie było tyle co mężczyzn; oglądały wszystko, wypytywały się o szczegóły i uczestniczyły we wszelkich uroczystościach.

Otwarcie wystawy bardzo piękny i poważny przedstawiało widok. Jak się godzi, zaczęto od Boga, żeby błogosławił zbawiennym celom i gorliwemu krzątaniu się około dobra ogółu. Zaujemy, że miejsce i czas nie dozwalały nam bliższych o tém podać szczegółów.

Jako fakt nader ciekawy wymieni nam jeszcze wypadka, że pomiędzy najlepszymi oraczami odznaczał się starozakonny, osiadły na gospodarstwie u jednego z obywateli gubernii lubelskiej. Fakt to ważny, jako dobry przykład i zachęta dla innych; wiadomo bowiem że starozakonni okazują zwykle u nas wstręt do roli, a jednak przewyciężenie tego wstrętu byłoby jedynym może i najskuteczniejszym dla nich środkiem przeistoczenia się w pożytecznych obywateli tej ziemi na której się zrodzili.

Po tém pobieżnem sprawozdaniu ze zjazdu lubelskiego, cóż wam opowiem jeszcze z nowin warszawskich, których w ubiegłym tygodniu śledzić nie mia-

łem sposobności? Owóz to chyba, o czém wiedziałem jeszcze przed wyjazdem do Lublina.

Podczas wieczery odbytej w zeszłą sobotę w lokalu Nowej resursy, z powodu położenia w dniu tym kamienia węgielnego pod nowy gmach obok Towarzystwa Dobroczyńności wznieść się mający, odczytany został następujący wiersh, na tę uroczystość przez J. I. Kraszewskiego nadesłany:

Gdzie tylko ludzie wezmą się za dłonie,
Gdy idą razem i serca swe spoją,
Płomyk tam Boży nad ich gronem płonie,
Bóg śle swą łaskę i pomoc śle swoją.
Niechaj ten kamień, rzucony dziś w ziemię,
Wyrosnie gmachem pokoju i zgody,
Dłoni bratniemi podnieśmy to brzemie:
Tak się dźwigają grody i narody,
Tak stoją mury i tak ludy stoją,
Braterstwa siłą i miłości zbroją.

Jeden z łaskawych korespondentów miejskich doniósł nam o wypadku, będącym w związku z kwestją kredytu, na brak którego u nas kilkakrotnie już zwracaliśmy uwagę.

W r. 1857 do handlu p. S. przybywa jakiś przyjezdny i polecony kupcowi przez osobę bardzo znaną w Warszawie jako obywatel jednej z gubernij południowych, bierze towarów za sumę złp. 680, oświadczając z góry, że należność tę odeszle dopiero za dwa miesiące z domu, bo zupełnie wyczerpał się z gotówki. Kupiec z uprzejmością otwiera kredyt osobie tak dostojnej i *dobrze rekomendowanej*. Tymczasem mijają dwa miesiące, mija rok, a pieniędzy jak niema tak niema. Pan S. listownie przypomina się najgrzeczniej, potem nieco śmieliej: — obywatel ani słowa. Za trzecim razem pisze seryo, — i wtedy obywatel przesyła mu rs. 20 a conto rachunku od trzech lat blisko zaległego, a w dodatku, zgadnijcie co oto opis szczegółowy podróży swój po Krymie; pisze o kąpielach morskich i lekcjach swojej córki, o rakach, rybach, baraninie i kawonach, o pomniku generała Giżyckiego, o katarze jakiego się nabawił, słowem o wszystkich rzeczach i niektórych innych, z wyjątkiem tylko — reszty swego długu. . . . I chciejże tutaj komu pożyczać: ten upomina się o pieniądze, a tamten opisuje mu Krym!

Podobne nadużycia, powtarzające się niestety dość często, istotnie usprawiedliwiają w części brak zaufania w stosunkach handlowych, których główną podstawą jest rzetelność w dotrzymywaniu wzajemnych zobowiązań. Szczęściem jednak dla naszej społeczności, tacy *krotochwilni* obywatele należą jeszcze u nas do wyjątków.

Wydawnictwo *Galeryi królów polskich* podług Bacciarellego, rozpoczęte przez ś. p. J. F. Piwarskiego, nie może jakoś dotąd znaleźć ręki przychylniej, coby chciała i umiała doprowadzić je do końca. A szkoda, wielka szkoda! Należałoby się to i pamięci nieodżałowanego profesora, i krajowi, bo nie jesteśmy jeszcze zbyt bogaci w nakłady z takim przepychem wykonane. Do objęcia tej artystycznej po ojcu spuścizny, przed wszystkimi poczuwałby się powinien znany jako zdolny rysownik i litograf p. Adolf Piwarski; gdy jednak ten, z powodów nam niewiadomych a trudnych zaprawdę do wytłumaczenia, od pracy około Galeryi się usuwa, — podzielamy w zupełności zdanie *Gazety Codzienniej*, że najwłaściwiej byłoby powierzyć ją p. Gersonowi. Sześć wizerunków już wyszło, siedm dalszych kamieni gotowych jest do odbicia, a do reszty przygotowane są rysunki; że zaś galerya cała, jeżeli nas pamięć nie myli, składać się ma z 23 portretów (oprócz tytułu), robota przeto w większej połowie jest ukończoną. Idzie tylko o to, żeby pomnikowe to dzieło znalazło wydawcę, bądź w gronie najmniejszych u nas opiekunów sztuk pięknych, bądź nawet pomiędzy księgarzami. Nakładca wielką położyłby zasługę, a i zysk, zdaniem naszym, miałby zapewniony, byle tylko wydawnictwo szło regularnie i pospiesznie. Rzecz tę polecamy gorąco sercu i rozważde ludzi dobrej woli, posiadających potrzebne do takiego przedsięwzięcia siły materyalne.

Przeglądając w tych dniach poezje Wiktora Hugo, napotkałem piękny bardzo wiersh, który, jak sądzę, pod muzykę łatwo mógłby być podłożonym. Turczynka podniosła zasłonę w obec chrześcianina, bracia jej zabijają ją za to: oto cały przedmiot tego dramaciku, w kilkunastu pomieszczonego wierszach. Sądząc że może kto z tutejszych kompozytorów muzycznych zechce skorzystać ze sposobności, przełoży-

łem więsz rzeczony, z góry prosząc czytelników o wybaczenie, że poezją Wiktora Hugo w nieodpowiedniem jej wartości przebraniu odważam się sądowni ich poddać.

ZASŁONA.

SIOSTRA.

O bracia! słowo, choć jedno
Słowo rzeknijcie, dla Boga!
Ponure lica wam bledną
I jakaś jasność złowroga
W oczach płomieni wam płowych,
Co dotąd słodko patrzyły.
Już dwakroć z pochwę węzowych
Zabójcze błysły kindżały.

NAJSTARSZY BRAT.

Czyś nie podniosła dzisiaj twój zasłony białej?

SIOSTRA.

Z łaźni.... na głowę proroka!
Z łaźni wracałam dziś zrana,
Skryta przed wzrokiem szatana,
Co z giaurów zabłyska oka.
Gdym miejską mijają brona,
Słońce paliło zarzewiem;
Jak to się stało.... ja nie wiem, —
Wiatr zwał na chwilę zasłonę.

DRUGI BRAT.

Człowiek jakiś z bram miasta szedł właśnie w tę [stronę.

SIOSTRA.

On mnie nie widział, mój bracie,
Nie widział.... na Boga w niebie!
Lecz wy coś z sobą szeptacie,
Wy coś szeptacie do siebie....
Nie widział!... bracie mój drogi,
Czyliż koniecznie krwi chcecie?
Przebaczcie biédnej kobiecie,
Co wasze całuje nogi.

TRZECI BRAT.

Wczoraj zachód pokrywał całun krwi złowrogi.

SIOSTRA.

Tak... i krwią oczy wam płoną.
Litości, litości! Boże!
Odwróćcie te wasze noże!...
O moja biała zasłono!...
Wyście przeleli krew własną,
Biada wam!... biada mnie, biada!
Na moje oczy co gasną
Zasłona śmierci opada.

CZWARTY BRAT.

Tój zasłony już żadna nie podniesie zdrada.

WSPOMNIENIA Z WYCIECZEK

PO GALICYI, BUKOWINIE I MOŁDO-WOŁOSZCZYŹNIE.

(Dokończenie.)

IV.

WOŁOSZCZYŻNA.

Z Jass jechaliśmy dalej ku Wołoszczyźnie przez Berlad. Miasteczko to, nad rzeczką tegoż imienia położone, o 15 mil odległe jest od stolicy. Tu można już częściej spotkać kupców tureckich z Adryanopola i Stambułu oraz Greków handlarzy. Poczyna się okolica górzysta, okryta lasami. Tu i owdzie widać ludne i zamożne wioski, dwory a nawet pałace; gdzieś-gdzie sterczą ruiny klasztorów i zamków tureckich. Mieszkańcy tych okolic trudnią się chowem jedwabników, ztąd ogromna ilość drzew morwowych. Zboże wymłacają na polu za pomocą koni, bawołów i młóć. Kapustę, jak w południowych Węgrzech, kwaszą w całych główkach w dołach wykopanych w ziemi, zmieszana z jabłkami, a taka kapusta jest twardą, jędrną i bardzo smaczną. Wino nadzwyczaj tu tanie i miłe do picia, ale trzeba przy niem unikać jedzenia owoców, bo febra, szum w głowie, bezsenność i prawie szaleństwo bywają zwykłym tego następstwem.

Przybyliśmy do Fokszan, miasta położonego na wołoskiej ziemi, które salonowi Mołdawianie nazywają *le pays des vignobles*; bo też rzeczywiście rodzą się tu w obfitości hiszpańskie winogrona wielkości naszych śliwek, pełne aromatu i słodocy. Zbyt krótki czas naszego w tém mieście pobytu nie dozwolił nam obejrzeć jego osobliwości; zresztą, jak inne miasta wschodnie, jest ono wewnątrz brudne i nędzne; mieszkańców ma około 6000 i trudni się znacznym handlem. I tu także, podobnie jak w innych znaczniejszych miastach Mołdawii i Wołoszczyzny, znajdują się róż-

żne agentury zagraniczne, sprawujące za liche wynagrodzenie opiekę czyli nadzór nad ziomkami swemi, przytém trudnią się handlem tytoniu, wina, księgarstwem i wszelką spekulacją. Jeden taki agent zakupił sobie od mego towarzysza koncert za 50 dukatów i nieźle wyszedł na sprzedaży biletów, zarobiwszy drugie tyle. Inny znów agent-spekulant daje przybyłemu z Jerolimy pielgrzymowi *certum quantum*, zastrzegając sobie dochód z kwesty na niego. Pielgrzym z radością przyjmuje ofiarowane 20 dukatów, a dobroczynny kwestor zbiera składkę, otrzymuje znaczny zysk i obie strony są zadowolone.

Opuściwszy Fokszany, przebijaliśmy się przez kałuże i błota do Galaczu, miasta portowego, gdzie koncentruje się handel dwóch części świata: Azji i Europy. To też ludność składa się tu z narodów całego prawie świata. Mnóstwo obcych okrętów, z płodami i wyrobami Azji, pruje nurty wspaniałego Dunaju, dążąc do wnętrza związkowych państw niemieckich. Miasto niezbyt rozległe, ulice po większej części ciasne, krótkie, kręte i nędznie zabudowane; prawdziwy typ miast azyatyckich.

Giurgewo, twierdza niegdyś turecka, która od czasu zawartego z Rosyą traktatu stała się wołoską, jest miastem napół tylko europejskim. Zaleca się pięknym kościołem św. Piotra. Przebywając błotniste stopy, w czasie słotnym bardzo niebezpieczne, gdzie w kałużach bez pomocy i przewodnika zginąć można, zbliżyliśmy się nareszcie do stolicy księstw naddunajskich.

Bukarest jest miastem dość rozległym i ludnym, domy murowane na sposób stolic europejskich; ulice proste, szerokie, przy których się znajdują pałace bojarów stale tu zamieszkałych; nie przedstawia jednak tak romantycznego widoku jak Jassy, bo leży w dole. Najznakomitszą ulicą jest Podumogoszaja, gdzie zawsze cały świat piękny widzieć można w pojazdach tak zbytkownych jak na Praterze w Wiedniu. Miasto całe dzieli się na części: czerwoną, żółtą, czarną, niebieską i zieloną. Wszędzie pierwsze miejsca opanowali Niemcy spekulanci, zakładając najpiękniejsze sklepy, kawiarnie, apteki i t. d. Gmach teatru narodowego jest wspaniały, wysokość jego wynosi 257 stóp paryzkich, a ze szczytu otwiera się precudny widok na miasto. Uwagi godna jest metropolia czyli katedra Bukarestu, z licznymi wieżami, zbudowana w roku 1658 pod rządem księcia Konstantego Brankowano; mieści w sobie trumnę z relikwiami św. Dymitra, patrona Bukarestu. Kościołów różnych wyznań, jak w Jassach, jest i tu ogromna ilość, a wszystkie mniej więcej pod względem stylu do siebie podobne.

Rzeka Dumbowica przedziela Bukarest na dwie niepodobne do siebie części, bo na jednej stronie jest miasto wspaniałe pięknymi budowlami odznaczające się, na drugiej zaś proste domki, karczmy, tabory, targowiska, baraki handlowe, gdzie od rana do nocy panuje zgiełk, wrzawa, cygańska muzyka, skrzypce i t. d. Dumbowica upoetyzowana zrodziła u Wołochów przysłowie następujące: Dumbowitza! apa dulce, czy ne bea, mu se maiduce, (Dumbowico, słodka rzeko, kto się ciebie napił, już dalej nie pójdzie). Jednakże sprawdzając rzecz, przekonaliśmy się, że trudno pić wodę z Dumbowicy, która tak jest mętna i błotnista, jak Bachluj pod Jassami. Być może iż w czasie wezbrania rzeki przysłowie to poetyczne więcej ma w sobie prawdy; ale w porze kiedy Arnauty, Turcy i Cyganie pławią swoje konie, owce i psy w tym wołoskim Orinoko, trudno ją uważać za miódopłynną. Psów też jak w Mołdawii tak i tu niezmierną ilość tłucze się po ulicach, dzieląc się niejako na oddziały, tak iż zabłąkanych z innego przedmieścia miejscowe cerbery rozszarpują w kawałki. Psy te są jednak tak łagodne, że człowieka nigdy nie ugryzą, a gdy poczują chleb u przechodzącego, wszystkie za nim podążają aż do jego mieszkania. Dziwna rzecz, że wścieklizna, mimo tylu psów, wcale tu jest nieznaną.

Przechodząc główne ulice stolicy wołoskiej, jako to: Herestran, Stirbej, Belwedere, Kolci, Nikolesco, Tirgowisti i t. d., widzieliśmy napisy na znakach sklepów galanteryjnych, korzennych, magazynów mód i strojów: de Paris, d' Italie i t. d.; ale najbardziej zastanowiły naszą uwagę liczne i szumne afisze po rogach ulic, jak np.: „Dziś w teatrze narodowym przedstawioną będzie w języku francuzkim sławna tragedia Szyllera: Don Karlos, którą w języku naro-

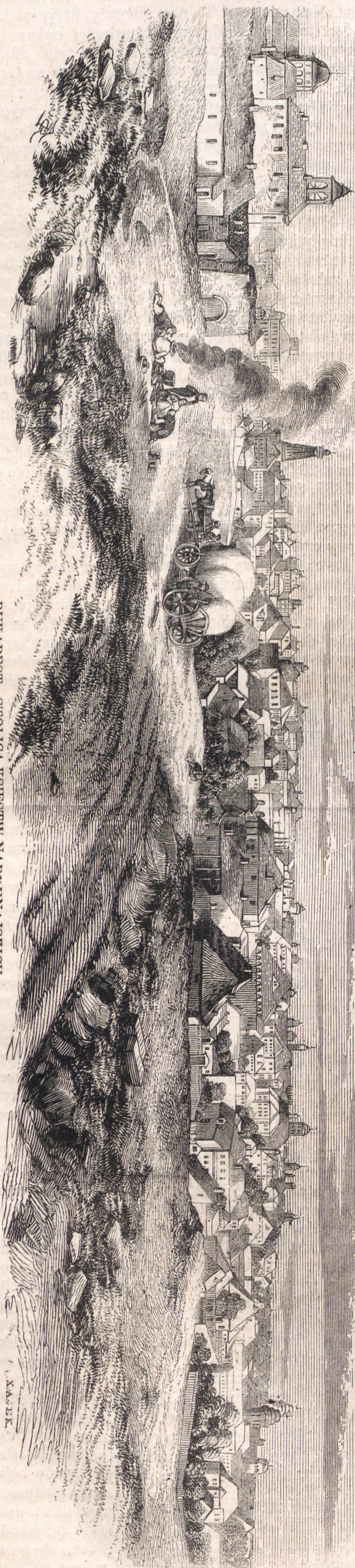
dczym poprzedzi nader wesoła, do śmiechu pobudzająca krotofilą: Kapudan basza i niedźwiędź. Abonament niema miejsca.“ To nam, niestety, przypomniło pocziwą pod względem łatwowiernej ciekawości Warszawę, która gdy zobaczy szumny tytuł afisza zwiastującego w Dolinie szwajcarskiej, lub na Czystem: „wspaniały fajerwerk brylantowy, ogniste kaskady i burzę siarczystą przy grzmocie armat,“ sypie się na wyścigi podziwiać te cuda, które uczniowie jadący na wakacje kupować sobie mogą po sklepach. To samo dzieje się i w Bukarescie, z tą różnicą, że tu nie potrzebują się uciekać do zabaw fantowych, bo pieniędzy jest do sytu; ale ciekawość ta sama, a gotowość do ofiar i wspaniałomyślność jeszcze większa.

Szkoły i uniwersytet w Bukarescie urządzone są w tenże sam sposób jak w Jassach. Kollegium św. Sawy, założone r. 1778 przez księcia Ypsylantego, ma fundusz na stu uczniów synów bojarów, tak jak uniwersytet św. Michała w Jassach. Uczą tu wszystkich przedmiotów w języku narodowym, a widać że przez źle zrozumiany patryotyzm wykluczono język łaciński, chociaż on jest źródłowym narzeczem rumuńskiego. Jest tu i szkoła agronomii i rękodzielnictwa, założona przez pełnego dla kraju zasług księcia Stirbeja; po 40 uczniów przy każdej szkole utrzymywanych jest kosztem rządu. Muzeum narodowe i biblioteka z 20,000 tomów złożona istnieją tu dopiero od r. 1835. Szkoła wojskowo-lekarska również zawdzięcza byt swój księciu Stirbey. Zasługuje także na uwagę gmach, w którym odbywają się posiedzenia *skupczyny* czyli stanów narodowych.

Rzecz osobliwa, że tu wszystko w największym odbywa się nieładzie, a jednakże rzadkie ztąd wypadki. I tak policja i dozór nad porządkiem prawie żaden, a nigdzie niema bijatyk lub kalectwa; mosty słabe, domy chylą się ku upadkowi, trucizny sprzedawane są publicznie bez osobnego na to pozwolenia, a jednak nie było przykładu, aby jeden drugiego otruli. Pieczywo chleba, rzeźnictwo, kucharstwo na nędznej tu stopie, bo zwykle tém wszystkiém trudnią się Cyganie. Szarlatanizm lekarski obszerniejsze tu jak w Mołdawii ma pole. Pigułki generalne, leki uniwersalne, tynktury, pomady, proszki, plastry publicznie się sprzedają. Cukiernik jest razem aptekarzem, a często i lekarzem, u którego dostać także można marmurków do ostrzenia brzytw, mydełek, pomady i pończoch jedwabnych. Cyganie i Cyganki leczą tu różne choroby, przy ściśłym zachowaniu zabobonów, modlitwy i zaklęcia. Niektóre leki sięgają jeszcze rzymskich czasów. Jednego razu przyjaciel mój, cierpiąc straszny ból głowy, kazał sobie podać *kaffe turczask*. Ale kiedy *kafetar* dowiedział się o jego chorobie, porwał go z tyłu pod ręce i na swych barczystrych plecach wstrząsnął nim, aż krzyże zatrzeszczały; potem odwinąwszy jego rękawy, miętosił i tarł obie ręce aż po łokieć tak energicznie, że biédak parę razy aż krzyknął z bólu. I cóż powiecie? przez gwałtowny napływ krwi do rąk, ból głowy natychmiast ustał, Cygan go ręką odjął. Różę na twarzy i febrę leczą tu pomiędzy ludem sokiem ogórkowym; w ogóle istnieje mnóstwo sposobów leczenia chorób, o jakich się lekarzom naszym ani śniło.

Urządzenie więzień tutejszych jest wyborne. Pomieszkania więźniów, utrzymanie i czystość są wzorowe, a co najważniejsza, że młodego wieku winowajców odłączają od starych zbrodniarzy. Gdy który z więźniów posiada odpowiednie zdolności, wtedy za pewną kwotę miesięcznie obowiązany jest uczyć drugich np. czytania, pisania, rachunków i rzemiosł. Wszyscy w pewnych godzinach słuchają nauki religii i moralności, wykładanej przez duchownego, lub pracują koło robót publicznych. Po wyjściu z więzienia kwota własną pracą zarobiona sumiennie każdemu zostaje zwróconą i posłużyć może do uczciwego rozpoczęcia jakiego zawodu.

Niema może miasta w Europie, gdzieby szulerstwo połączone z oszustwem i złodziejstwem, a czasem morderstwem, tak było rozszerzone jak w Bukarescie. Krupieri robią tu ogromne majątki, kosztem młodych, zapalonych szulerów, zwykle synów bojarów. Kobiety nawet, jeśli nie są zajęte próżnością, strojami, romansami, to przy zielonym stoliku trwonią czas i majątek. W zbytkach bojarowie przechodzą może wszystkich magnatów europejskich, ale bo też majątki ich są bajeczne, a dochód roczny 20 — 30 tysięcy dukatów dosyć pospolitą jest rzeczą. Panom tym dostępne są najznakomitsze krajowe urzędy, jak:



archimandryty, biskupów, hetmana, wielkiego bana, wielkiego logofeta, wielkiego wornika czyli ministra, wielkiego posselnika, wielkiego wistiara, spatara (generała) i t. d. Źródłem zysków i ogromnych majątków, jakie posiadają prawie wszyscy bojarowie, jest uprawa ziemi, jój obfita urodzajność, chów wołów i owiec, handel i przemysł wolny i zresztą uciemiężanie i wyzyskiwanie chłopa. Wyznać jednak trzeba, że odznaczają się w ogólności ujmującą grzecznością dla obcych i wspieraniem znakomitości naukowych i artystycznych. Niższa tylko klasa bojarów nie posiada tych przymiotów, bo oświata daleka jeszcze od niej, a demoralizacya zbyt głębokie zapuściła korzenie w serca dawniejszego pokolenia. Co do urzędników tyle powiedzieć można, że szczupła ich pensya bywa często powodem przekupstwa i przedajności. Bywają tu zdarzenia, że urzędnicy policyjni, jak o tém pisze sam były dyrektor policyi ks. Dymitr Ghika w swojej broszurze: „*Projet des reformes*,” są nieraz sprzymierzeńcami i protektorami złodziejów i bandytów. To samo dzieje się niekiedy i w biurach sądowych.

Ale pomijając te nadużycia, odsyłając wreszcie czytelników do felietonów gazet warszawskich, które z wielką znajomością rzeczy przedstawiły niedawno byt historyczny i polityczny obydwóch księstw naddunajskich i objawiły życzenia i plany przyszłej ich organizacyi pod względem administracyjnym, moralnym i politycznym, przytoczę w końcu opisu téj podróży niektóre uwagi dotyczące zwyczajów ludu wołoskiego.

Między innymi byliśmy świadkami wesela rumuńskiego. Obchody te godowe sięgają jeszcze czasów rzymskich. Swaty przychodzą, zapytując się rodziców, czy tu nie zabłąkała się owieczka, której szuka pasterz Janko, Kostaki, Dziordzi i t. p., że ta owieczka nazywa się Illiana, Anika i t. p. Rodzice niby udają że jój niema, nareszcie jednak, po wielu dowcipnych zapytaniach ze strony swatów, przyznają że się u nich ukrywa i wyprowadzają na żart starą babę, mówiąc, że to jest owa powabna Anika, której szukają. W końcu dopiero téj wesołej krotchwili występuje Anika *in persona*. Drużba weselny sadzi się na koncepta i pochwały, unosząc się nad kibicią, oczami, brwiami, ustami cudnej Aniki, wystrojonej godowo; po zaręczynach zaś zamykają pannę młodą na cały tydzień, aż do dnia wesela. Dawniej pan młody z przyjaciółmi swemi obowiązany był popisywać się w obec rodziców panny zręcznością w toczeniu koniem i robieniu kopiją, a niekiedy siłą zdobywał swoją narzeczoną i uwoził do domu. Państwu młodemu w kościele podczas ślubu kładą wieńce na głowy, rzucając im pod nogi pieniądze na podeptanie, na znak że nie dla pieniędzy został ten związek zawarty. U ludu prostego bywa to prawdą, lecz rzadko pomiędzy bojarami, gdzie właśnie pieniądź zwykle jednoczy na pewien czas stadła małżeńskie. Podobny wypadek miał miejsce w Jassach, gdzie pan młody, idąc do ślubu, napotkał dawną swoją kochankę. Jój wdzięki i lzy rozpacz obudzają dawną namiętność w młodym bojarze: pozostaje przy niej, odpędza swatów i niechce słyszeć o mającym się zawrzeć małżeństwie. Rodzice i panna młoda skompromitowani. Młodszy brat narzeczonego, przystojny i rzutny, daje się namówić do zastępstwa, ale kładzie za warunek niesłychaną kwotę posagu. Targ odbywa się w zakrytych, rodzice się podpisują i akt ślubny z młodszym bratem zostaje zawarty, na jak długo? niewiadomo, bo jak już wspominaliśmy, rozwody w księstwach naddunajskich są dozwolone.

Wołoch, tak jak Mołdawianin, lubi nadzwyczajnie muzykę, a czule i rzewne pieśni w polu lub przy winobranii zbliżają go pod tym względem do szczepu słowiańskiego. Podczas winobrania odbywają się wesołe uczty, jak u nas na dożynkach i wieńcach. Zresztą w Wołoszczyźnie powtarza się to wszystko, cośmy dostrzegli w Mołdawii: zbytek obok nędzy i ubóstwa, próżniactwo obok pracy i skrzętnych zabiegów, oto cechy powszechne, które po części i nas niestety znamionują.

Wołoszczyzna posiada w łonie swój ziemi liczne skarby, z których krajowcy dotąd mały robią użytek; obcy tylko przybysze umieją korzystać z niewiadomości naddunajców. Znajdują się tu obfite kopalnie, liczne i skuteczne kąpiele i źródła mineralne. Gdziekolwiek spotkać można zabytki dawnych Rzymian, rozrzucone zamki i pałace, a droga Trajana, wśród

niedostępnych puszczy, błót i nieprzebytych skał, najpiękniejszym pozostała cywilizacji ich pomnikiem. Bukareszt, jako stolica księstw sprzymierzonych, widocznie się podnosi i rośnie w potęgę. Piękne pałace, zwłaszcza przy ulicy Podumogoszaja, gdzie zamieszkuje najpiękniejsze rodziny państwa, mogą się równać z pałacami zagranicznych stolic. Porządek coraz większy, siła zbrojna coraz liczniejsza i lepiej uorganizowana, ster rządu dzielną ujęty ręką, postawią wkrótce księstwa nadunajskie na stopie niewiele zostawiającej do życzenia. Zapał tu ogromny, chęć postępu i reformy objawia się we wszystkich stanach; cały naród poczuł swoją wolę, jedność i miłość ku sprawie ogólnej. Wszyscy, od najwyższego bojara do prostaka, wzięli się do pracy, w celu ustalenia sobie bytu politycznego i lepszej przyszłości.

JAK SIĘ U NAS TWORZĄ PODANIA.

Chcąc dziś odtworzyć wieki minione, należy szukać węzła, który nas łączy z przeszłością.

Węzłów tych coraz mniej, siła ich z dniem każdym słabnie, to też coraz trudniej, coraz niepodobniej dzień dzisiejszy zastąpić wczorajszym.

Jak w chrześcijaństwie żyją cnoty, które zjawiwszy się w pierwszych wiekach męczeństwa, i dziś témże samém światłem są otoczone; jak świat dzisiejszy Chrystusa, mimo nowych obrządków, mógłby wejść w tajemnicze podziemia i tam wznieść modlitwę wspólną dla wszystkich wieków, tak sa-

się na ciele, przekształca na duchu i zniknie ów punkt, na którym schodzą się dziś i wczoraj.

Kto badał lud nasz z przed wieków, kto poznał jego wiarę ówczesną, kto i dziś wędrował między chatami, spisując legendy i cudne powieści, ten przyznać musi że lud dzisiejszy, jest ludem z przed wieków.

we szale i uszyć sukmanę, która jest poważnym a pięknym strojem tutejszego ludu.

Spójrzmy na lud nasz w ogóle: wszędzie wiérzchnia suknia jego zgodna z charakterem człowieka, z jego usposobieniem, z miejscowością całą; w stroje ludowe wpatrując się okiem badacza, historyka lub poety, odnajdziemy skarby, w których, jak w ogniu, oczyszczą się nasze domysły o zamrożonej przeszłości. Do dziś dnia niewieleśmy ślęczyli nad pieśnią ludową, jeśli nad pieśnią ślęczyć lub pracować można, mało też dbaliśmy o staranne wyśledzenie początku rozmaitych zwyczajów, a wszystko prawie puszczając na zimny, niczym nieograny domysł, najmniej lub wcale nic nie zwracaliśmy uwagi na ubiory ludowe, zapomniawszy że z nich uda nam się wykryć to, czego żadna karta piśmienna, żaden papier zbutwiałby rozwiązać nie zdołają.

Ubiory ludu, to żywa pamiątka przeszłości, to owoc narodowej fantazy, nie pożyczanej u nikogo, ale wyssanej ze swojej ziemi, wypieszczonej w swoich lasach, rozbujałej pod swoim niebem.

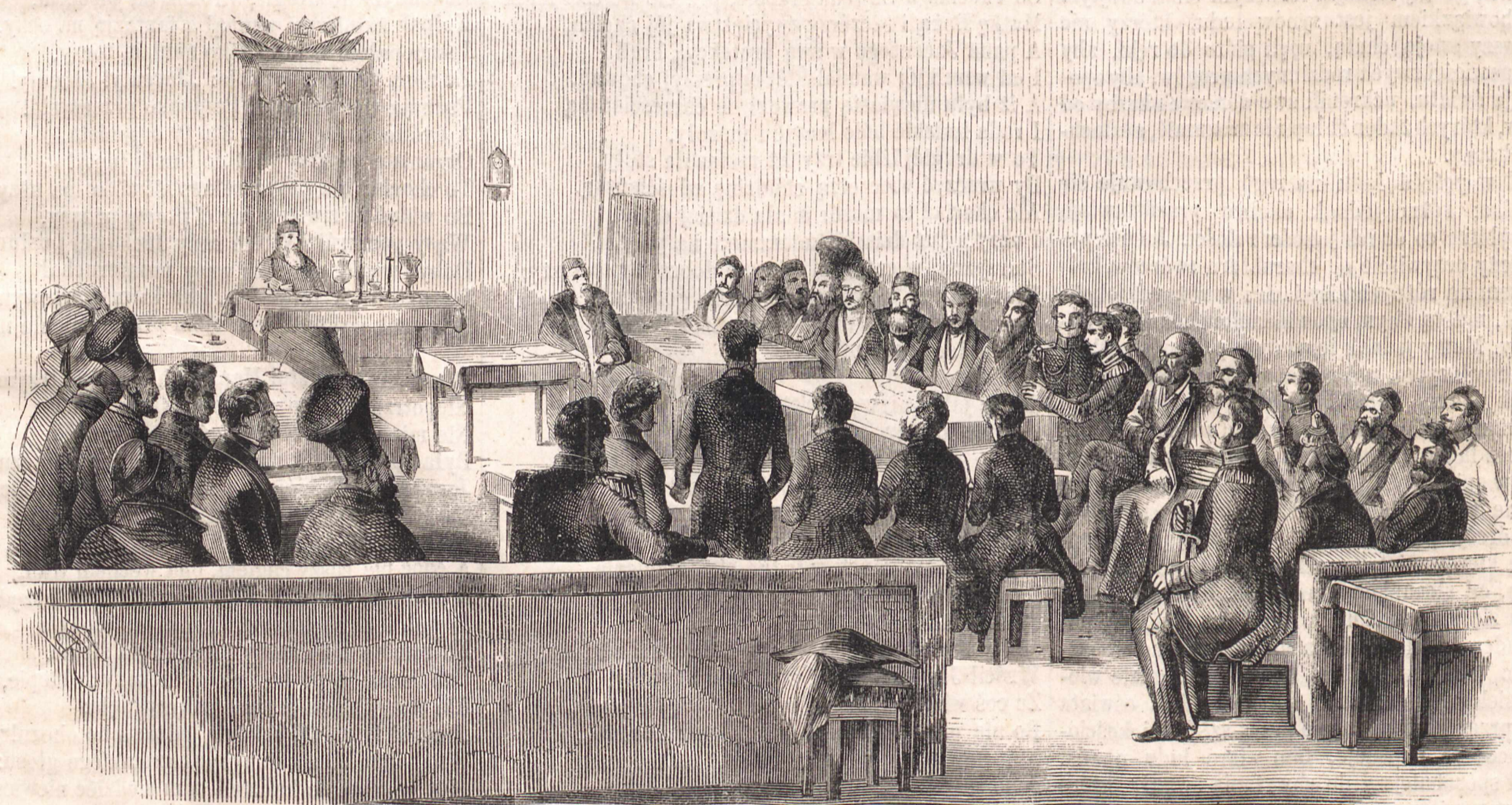
Myśl czysta tworzyła wzory, a imaginacja, podniesiona modlitwą i snami, szatę przetykała nicią złotą. Myślałem ja nieraz o tém, dlaczego to Krakowiak taki strojny, a Podlasiak na przykład tak żałobny; dlaczego suknia Mazura gotowa się zmieniać w coraz nowe formy, a kapota Kujawiaka kujawską do

śmierci być musi; dlaczego Kurp' tak kuso i zwinne, a Litwin tak poważnie odziany? Myślałem o tém to szperając w książce, to słuchając pieśni, i wyznam



TARG TYGODNIOWY W BUKARESCIE.

Tu nieco tylko myśli, jako urywek, mogę dać czytelnikom, zaczynając od litewskiego ludu, od jego strojów, poezyi i wiary, wprowadzając ich na zie-



POSIEDZENIE STANÓW WOŁOSKICH.

mo i naród z dziś, powinien być znajomy narodowi z wczora.

Kto wie, może za lat kilka, może za lat dziesięć, może za pół wieku i my stracim jeden z tych węzłów, łączących pokolenie z pokoleniem: węzeł rozerwie się, a przynajmniej osłabnie, bo lud nasz przestroi

mię, na której najprzód zacząłem podsłuchiwać i badać podania ludowe.

Len rośnie na polach Litwy, warsztat płócienny zbudowany w każdej chacie, wszyscy potrafią uprząć i ukraścić ją w różne kolory, spleść w białe lub si-

że z tych ostatnich najwięcej pojąłem i odgadłem.

Gdy pogaństwo upadało na litewskiej ziemi, a chrzest, oczyszczając dusze, zmieniał parciane szaty w sukienne ubiory, wówczas Litwin pierwszy raz uzbroił się podług obmyślonego wzoru, powiedział sobie że strój nowy wielce mu do twarzy i pokochał jego prostotę,

nie myśląc już o zmianie. Powaga sukni Litwina jest wielka; znać w niej wyraźnie pomysł Władysława Jagiełły, który odrzuciwszy królewskie ozdoby, odział się siwą sukmaną i uzbroił przeciw żywiołom czarnym kożuchem, zasiał lmem swoje pola, uszył sobie szaty i zadrwił z handlarza, który myśli że bez jego pomocy nikt na świecie obejść się nie może. Litwin w szarej sukmanie, Litwinka w białym szalu, bogato wyglądają, a rokosz patrzeć na lud, który wszystko ma jedynie z tej ziemi, jaką mu Bóg oddał w posiadanie.

Nie przesadzam bynajmniej mówiąc, że gdziekolwiek lud sam się przestroi, tam upadek moralny łątwo się rozgości, a zgnilizna zupełna szybkim krokiem wejdzie w granice wioski. Nie znam jeszcze okolicy, któraby wspólnym głosem wzgardziła strojem pradziadów, ale znam pojedyncze osady, oddzielne rodziny, z których obcy żywioł wypędził stare obyczaje. Strach tam i zaglądać: egoizm, dobry byt, nędza ducha, poniewierka życia, oto są bogi podobnych osad i rodzin.

Do bardzo wielu więc obowiązków względem młodszych naszych braci przybywa i obowiązek czuwania, aby lud nie targnął się na swoje ubiory, na swoje odwieczne pamiątki; stać nam na straży i czuwać dobrze, jeśli nie chcemy, my tylko wyłącznie, za wszystko złe odpowiadać.

W wędrówkach po kraju zaznajomienie się z ludem powinno być najważniejszym zajęciem podróżnika, bez tego bowiem nie może dać dostatecznego wyobrażenia o okolicy, choćby wymienił wszystkie dwory, kościoły i ruiny. Lecz nie tak to łatwo zrozumieć jego powieści, legendy i przeróżne opowiadania.

Legends i powieści ludu, o których każdy prawie gotów dowodzić, są najtrudniejsze do powtórzenia, zwłaszcza tak, żeby nadając im formę artystyczną, nie ogołacać ich z barwy, jaką tylko sam lud-twórca własne dzieło odziać potrafi — i wyznać muszę, że spisując wszędzie podsłyszane legendy, ile razy ująłem je w formy literackiego opowiadania, zawsze byłem z siebie niezadowolony, zawsze czułem że tylko chłop z rodu, umiejący pisać i tworzyć, mógłby je bez żadnej obrazu przedstawić w słowie, że tylko syn ludu godzien jest ogłaszać powieści swoich dziadów. Rozumiem że legendy spisywać nam wolno słowo w słowo, tak jakieśmy je słyszeli, bez żadnych ozdób, na zimno, albo wolno je wprowadzać w granice artyzmu; lecz wtenczas już jedynie tylko pieśń natchniona będzie dla nich godną formą. Pierwszym też a świętym niemal obowiązkiem jest synów ludu, którzy nie wzgardziwszy swoją chatą, ujęli pióro do ręki, aby spisując powieści swych rodzinnych progów, aby opowiadając je światu, uchronili swe domowe skarby od wymysłów, których żaden chłop nie zrozumie, a szlachcic nie pokocha.

Legend w pośród ludu naszego przechowuje się moc wielka; różne jednak okolice przedstawiają różnice wybitne co do ich jakości i ilości. Jakość powieści zależy oczywiście od charakteru twórców, którzy zrodzeni na różnych ziemiach i w różnych okolicznościach, muszą swym opowiadaniem odmienne dawać barwy. Mamy jednak legendy wspólne wszystkim naszym prowincjom, np. o diabelskim moście, o paproci, jak mamy bohaterów wszędzie jednakowo przedstawianych. Diabeł na przykład na całej naszej ziemi przez lud widziany bywa koniecznym w postaci Niemca, w spiczastym kapeluszu, w kusym fraczku; a wszystkie te wspólności zależą albo od siły wyobraźni twórców powieści, którzy nie znając się opowiadali ją kierowani tylko sercem, albo od stykania się z sobą, od stosunków czasowych. Ilość zaś podań zmniejsza się w stosunku oświaty krzewiącej się pomiędzy ludem; gdzie podania nikną, tam lud ubożeje duchem, tam materializm bierze górę; gdzie wioski rozdzielone na osobne kolonie, gdzie oświata wchodzi przez karczmy a nie przez szkoły i kościoły, tam podanie marnieje, tam wiara ludu upada. Gdzie lud sposobniejszy do chwytania światła, które postępuje i w powietrzu rozlewa, tam żyją stare podania, żyją nienaruszone, i lud w nie wierzy; lecz jeśli tworzy nowe historie, daje im już jakąś odmienną sukienkę, oględniejszy jest w zakłękach i bajkach. Gdzie lud wreszcie dzisiejszy jest ludem z przed wieków, tam żyje wiara ślepa we wszystkie podania, legendy, tam nie znajdziesz pojedynczego autora, któryby składał coś nowego według swego mędrkowania, lecz twórcą jest jeszcze cały naród.

Spisywać dowolnie i stroić legendy możebyśmy się jeszcze odważyli, gdyby życie ich już wygasło, gdyby ich twórcy nie mieli już godnych siebie następców; ale widząc, ale poznaawszy jak lud nasz silnym jest jeszcze twórcą, dopatrzawszy niespodziewanej płodności i życia, nie chcąc grzeszyć, nie powinniśmy wdziierać się na zastępców ludu. Litwa jest krajem pełnym ludowych powieści, przechowanych do dziś w zupełnej czystości; Litwa jest twórczynią legend i podań coraz nowych, a budowanych jednej chwili, bez namysłu, a tylko z wiary w nieomylną praojcow. Na Litwie też byłem obecny narodzeniu się nowej ludowej powieści, i aby wam ja copędzniej opowiedzieć, wracam nad brzegi Niemna, staję na augustowskiej ziemi i składam wam *nieomylny, niepodpadający żadnemu podejrzeniu dowód*, że lud nasz i dziś tak samo wierzy, jak wierzył przed wiekami.

(Dokończenie nastąpi.)

PAN JACEK BRZUCHAŃSKI.

OPOWIADANIE JÓZEFA SZUJSKIEGO.

Rzecz wzięta z *Gigantomachii Kordeckiego*.

(Dalszy ciąg.)

Wilia — W domu Jacka Jackowa się krząta, Ochędźnie ociera proch z każdego kąta, Stół zastawia, obrazy święte pooświęca: Na jednym z nich Marya, przeczysta dziewica, Kopia częstochowskiej, brunatnego lica, A dziwnie tajemnicza, boska, macierzysta. Widać że ją malował sam ewangelista, Tak ufność budzi wielką i świętą nadzieję, Jak się człeku przy żadnym obrazie nie dzieje. Przy niej święty Hiacynt i Teresa święta, Organistostwa obojga patrony Za obrazami palma z gromnicą zatknięta I ziela od piorunów wieniec zawieszony. Stół obrusem bieluchnym przykryty chędogo, Z kuchenki zapach potraw leci smakowity, Widać jest tam uraczyć i napoić kogo, Jako bywa u rządnej, opatrznej kobiety. Dziś się szczególniej ano musiała wysadzić, Bo miała wielu gości za swój stół posadzić, Nawet szlachtę i księdza od świętej Barbary, Kilku z kwarty, z którymi przyjaźnił się stary, Pocziwych ludzi, tęsknych do polskich zwyczajów, Co chociaż w Szweda służbie, przecie we czci mieli Matkę Bożą i szczerze zwycięstwa jęj chcieli, A pana Jacentego w swą protekcyą brali I od wszelkiej wandalskiej oppressyj chowali. A iż była niewiastą prawdziwie chrześcijańską I rada ludzkie bóle leczyć i mozoły, To w drugiej izbie trzy aż zastawiła stoły, By uraczyć wieczerzą chudzinę włościańską. Ale chociaż to mozół miała dzisiaj duży, I okryła już dziatki, zmarznęte na poły, Starzyzną, w czem jęj wiernie dobra córka służy: Ułatwiła już wszystko, wieczerza gotowa I gwiazdeczka na niebo już wyszła różowa, A pan Jacek nie przybył.

Trapi się Jackowa:

„Może jakie nieszczęście! Idź-no wyjrzyj Hanno Czy nie idzie?”

A Hanna słuszną była panną, Gibką jak łania, a jak jabłuszko rumianą, Od rodziców w bojaźni Bożej wychowaną; Więc kiedy zobaczyła matki swęj strapienie, Wyleciała na ganek w jedno oka mgnienie I wróciła za chwilę: „A toć ojciec bieży, Pewnie ma coś ważnego!”

W zśnieżonej odzieży

Wrócił Jacek, a widać z postaci i twarzy, Że coś wielce ważnego w swym umyśle waży, Bo nie przywitał córki, którą kochał srodze, Ani słówka nie wyrzekł Teresie niebodze, Jeno zawołał: „Hanko! idź do stajni żywo I rozkaż chłopakowi okulbaczyć siwą! A jęjmość niech mnie kubrak mój żołnierski poda, Inkaust, papier i pióro. Wszędzie obleciałem Z kołędą. Patrzaj jęjmość, na czole aż woda.... Oj srogo gospodarzą! W parafii całej Zaledwie cztery dymy nietknięte zostały. Panie Boże nas ratuj przed niemi!”

„O rany!

Jakeś zśnieżony Jacku i jaki stérany!

Odpcznijże, wilia czeka zgotowana. Zaprosiłam kwarcianych, księdza kapelana.... A i jadło niezgorsze upikciłam przecie.... A ty znowu się zbierasza gdzieś térać po świecie? Jacku! Jacku! do czasu nosił wilk barany.... Cierpnę że ci na koniec przyjdzie oplakany. A cóż ja biędna wdowa pocznę sama z dzieckiem? W wojnę jeno się mięszać osobom szlacheckim, A nie tobie, coś sobie mieszczan i chudzina!”

„Cicho jęjmość, nie wtrącać cię w tę rzecz jęjmości! A nie obrażać Marji... Mnie to nie piérwsiżna.... Klasztor o blizkim szturmie nie ma wiadomości, Zawieja i śnieg srogi, że nie widno wroga; Myślą że Szwed heretyk uczi przyjście Boga, A oni tam gotują pono szturm ostatni. Gdy król myśli na pomoc przyjść klasztornej matni, Śliczna rzecz, gdy napadną nieopatrznych mnichów. A od czegoż to Jacek? Wstydz się jęjmość srodze! A z tych słów wypowiadaj w kościele jak z grzędów. Piękniec mężowi stawać na zbawienia drodze!... A czy nie wiesz, żem winien jako organista Świętej Barbary chodzić rok w rok na kołędę Z opłatkami na górę? Fundacja wieczysta, A ja jęj piérwszy pewnie odmieniać nie będę.“ „Ale to czasy wojny“ — wybąknęła żona.

„Otóż masz! W fundacyi wojna niewspomniona.... Rok w rok stoi wyraźnie. Śliczny sługa Boży: Kiedy spokój — bundziuczny — kiedy strach — to tchó! A od czegoż na świecie są święte urzędy? [rzy. Kiepski żołnierz, co w wojnie od broni ucieka!... Więc niechaj nikt w klasztorze na mnie nie narzeka, Żem w zły czas mu życzliwej nie poniósł kołędę. Dawaj jęjmość opłatki, daj kubrak kwarciany!”

Organiscina kubrak podała pocichu, Wzrok błagalny podnosząc do Najświętszej Panny, By jęj nie poczytała za tę bojaźń grzędchu. Mąż pisze, ona cicho chodzi po komorze, Wzdycha i jakieś ciężkie przecucie ją zmagą; Ale mężowska skargi nie znosi powaga.

Z trudem pan organista skończył list niemającym, Ile że rzadko pismo miewał w używaniu, I zrecznie go opłatkami pookrywał białym. Potem z alkowy wyszedł w żołnierskim ubraniu, Z pałaszem, co mu dźwięczał około goleni, Podobnym do długiego różna od pieczeni; Kołpak żołnierski wsunął z fantazją na oczy, I samopałem w koło jako żerdzią toczy, Że żona jeszcze krzykła: „Jacenty! Jacenty! Poznają cię! poznają! Panienko przeczysta! A dyć to widać zaraz, żeś ty organista, Organista od głowy aż do samej pięty! To chociaż ten kołpaczek spuść nizko na uszy, Bo widać że siwizna już ci głowę pruszy, Wąsy poczerń! Wtém rady Jackowej posłuchał, Dobył węgla, oburącz wąsy posmoruchał I zapytał: „A teraz!?” ... i krokiem marsowym Na ganek wyszedł w swoim przemienieniu nowém.

Przed gankiem stoi Hanna i klacz ojca trzyma, Niepotrzebnie, bo siwa była ślepą z rodu; Nie miała ona chimer końskiego narodu, Była spokojna, w ruchach wielce flegmatyczna; Jacek miał do nięj słabość, mówił że prześliczna. Znały ją wszystkie dzieci i ludzie w parafji, Pan Jacek na nięj, bywa, jeździ po kołędzie, A choć nie ruszy cuglem, ona węchem trafi, Z długiego doświadczenia zawlecze się wszędzie Powoli lecz statecznie. Teraz łeb złożyła Na ramieniu u Hanny i zamknęła ślepie. Pan Jacek ją po bokach wytuczonych klepie, Ale pani Teresa jeszcze zakrzyknęła: „Jacku! ty na tej szkapie jedziesz do obozu!” Wtędy pan Jacek dobył już gromkiego głosu: „Idź jęjmość do kądzieni, tam siedzieć niewieście, A nie gadać o koniach. Więdz, że w całym mieście Lepszęj kobyły niema, sam przeor w stadninie Niema, chociaż stadnina przeorowa słynie. Cóż z tego że oslepla? bo była ognista! Ale za to wytrwała, krępa, podsadzista, Spokojna, a choć trochę w pysku bywa tępa, Żaden koń tak wybornie nie chodził mi stępą, A jako czysty stanąć chcę kiedyś przed Panem, Nie mieniałbym się na nią, że żadnym kwarcianym.“

To rzekłszy, Jacek cmoknął na siwkę przychylnie:
Wzniosła łeb i w kopyta uderzyła silnie
I poszła drogą stępo, w kroki wymierzone
Z organistą, co szeptal: Pod twoją obronę.

* * *

Noc była mroźna, śnieżne zamiecie ustały,
Ostatnie chmury coraz bielsze i przejrzyste,
Przeświecone księżycem, wichry poganiały,
I po ziemi się światło jakieś uroczyste
Rozlało, jakaś dziwna mieszanina cieni
Z kawałkami błękitu i gwiazdek promieni.
Księżyc, wyblyszszy nagle, klasztor zwałił stary
Cieniem czarnym na obóz Wandalów rozpięty,
A z drugiej strony cudnie kościół pooświecał,
Że się zdał niby starzec siwy, biały, święty,
Co prawicą-więzycą Polskę Bogu zlecał.
Pierwszy raz, odkąd klasztor oblężenie znosi,
Taki wesoły księżyc się nad nim unosi;
Pierwszy raz niebo taką pogodą przyświeca,
By szata, którą nosi niebieska Dziewica,
Gwiazdami błyszczącymi misternie utkana,
Wesoła, jako chwila Narodzenia Pana.

To też na murze zamku w jasnym światła stoku
Drużyna częstochowska stanęła radośnie,
A serce od nadziei jęj niebieskiej rośnie.
Książd przeor pewność świętą ma w natchnioném oku,
Szlachta wesołym kregiem do niego się garnie:
„A no, chwała Paniencie, zamieć się rozgarnie,
Mróz tęgi a pogoda. Łatwiej nam w klasztorze
Niżli Szwedom na polu. Niedługo im może
Tu wytrzymać. Toć nie śmia zapalić ogniska
Biedacy, bo się boją salwy przy wieczerzy.
Na wał ani się wdrapać, taka ziemia ślizka.
Spokojnie zanucimy Panu: W żłobie leży!”
Kiedy tak przeor mówi, na wale u wieży
W światła blasku na szkapie zjawi się kwarciany,
Zdjął kołpak, pod kołpakiem zaświeci łysina.
Częstochowscy krzyknęli: „W imię Ojca, Syna
I ducha! wszak to Jacek, Jacek znów przebrany!”
A Jacek zawinięte w wór opłatki ciska
I oracją wypala podjechawszy zblizka,
Dodając że na słodkie Pana urodziny
W opłatkach dobre niesie klasztornym nowiny,
A życzy, by wnet obszedł księży, szlachtę, braci,
Mieszczan personaliter, jak stoi w fundacji.

Ledwie to Jacek wyrzekł, aż z fosy niebawem
Zabłysnęły orężem promieniem jaskrawym.
Siwa w bok, chłop olbrzymi za cugle ją chwyta,
Da bist du, Vogel! wrzeszczy. Częstochowscy z wa-
Na dół palą do Szwedów ze swych samopałów; [łow
Ale wnet hurma cała opadnie biedaka.
Zraniona mieczem siwa ruszyła z kopyta
I raz pierwszy galopem urznęła z człapaka.
„Księżę przeorze! duszę-ć polecam i dzieci!”
Woła Jacek, w podrzutach do obozu leci,
Ginie w dali i czasem tylko się zaświeci
Łysina starca, w której księżyc się przeziera,
I twarz nie organisty, ale bohatera.

* * *

Obóz szwedzki, w szerokie rozbity półkole,
Jako wielka szarańcza, co przylega pole,
Na przestworzu śnieżycy czarną leżał plamą;
Wzdłuż szanów usypanych i przed każdą bramą
Wandaliskie przelatują na koniach patrole
I migają się w świetle czarnymi szlakami,
Jak mrówki z ruszonego mrowiska krążące,
To kręcące się naprzód, to powracające.
Na wałach usypanych pod zamku murami,
Wkopane w ziemię Szwedy pilnują armaty
I losem wysyłają na stracone czaty.
Niesforny gwar zamąca świętą wilji ciszę:
Dźwięk trąb w powiewie wiatru dziko się kołysze
I hufce zewsząd spieszą na trąb owych grzmoty
Ku miejscu, gdzie czernieją dowódców namioty.

Środkiem pół biedny Jacek wśród rajtarskich koni
Na przestraszonym siwce nieprzytomny goni,
Jeno mu w uszach szumi jakiś głos stęskniony,
Niby żony czy córki: Jacenty stracony!
I chwilę taka wielka niemoc go owładła,
Że mu i siwa głowa na piersi opadła,
I ręce odrętwiałe cugiel opuściły:
„Moja żona! me dziatki! mój ty Boże miły.”

Wtedy go hurma Szwedów ciekawych napada.
Krzyk rośnie! Jeden płazem miecza go okłada,
Drugi harapem razy po grzbiecie odlicza,
Że się schyliła starca postać męczennicza.
Szkapą ukłuta mieczem zawierzgnęła zadem,
A pan Jacek padł na twarz swém obliczem bladém,
Stłuczony spojrzął wkoło okiem smutném, łzawém,
Zobaczył co się dzieje. A Szwedzi niebawem
Sadzają go na siwą przodem do ogona,
Przywiązują sznurami. Wtedy twarz znękaną
Nagle rozświeci jakaś myśl natchniona,
Twarda dusza ozwała się w staruszka ciele:
Podniósł oczy i nagle wypokojniał dziwnie,
Nie rzekł ni słowa skargi, nie rzucał się gniewnie,
Ani o litość prosił swoje trapićciele;
Bo mu Pan wielką pomoc przysłał onęj chwili,
Kiedy go obitego na szkapę wsadzili.
Męka pańska przed duszą stanęła wyraźnie,
Jakby ją w Wielki tydzień odczytywał właśnie,
I Bogu się zlecając w modlitwie dziecięcęj,
Szeptal sobie po cichu: „Jezus cierpiał więcęj!
Więc, gdy ci kazał znosić dla swęj Matki świętęj,
To ty idź za Jezusem, to ty cierp Jacenty.”
I odtąd, kiedy Szwedzi go policzkowali,
Chrystus przed nim się jawił wśród sądowej sali,
Jak nadstawiał policzka drugiego Żydowi.
Nadstawiał i pan Jacek, co Szwedów śmieszyło.
Gdy go bili, to Chrystus pod słupem mu mówi
W pokrzwawionęj sukience: I mnie tylu biło!
Kiedy go w płaszcz żołnierski szydersko ubrali,
To widział, jak się Żydzi Chrystowi kłaniali;
Kiedy go wprowadzali do pana Millera,
To widział, jak się brama Heroda otwiera
I Bogu się zlecając w modlitwie dziecięcęj,
Szeptal sobie po cichu: „Jezus cierpiał więcęj!
Więc, gdy ci kazał znosić dla swęj Matki świętęj,
To ty idź za Jezusem, to ty znoś Jacenty!”

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Proponowane ulepszenie w fotografii. Wiadomo że obrazy w kamerze fotograficznej ukazują się odwrotnie (figury głowami na dół), co przeszkadza gustownemu ugrupowaniu większej ilości osób. Aby temu zaradzić i otrzymać figury w postaci zwykłej na szkło, należałoby szkło matowe umieścić w górnej ścianie, w miejsce zaś jego ruchome zwierciadło naprzeciw soczewki, zastosowawszy odległość obu do ogniska soczewki przedmiotowej. Sposób ten, lubo zdawna używany w kamerze ciemnej (camera-obscura), zastosowany do fotografii, mógłby jęj przynieść wielkie ułatwienie.



Panu E. K. w Poznaniu. Dawniejszego listu pańskiego redakcja nie otrzymała. Z obecnej propozycji chętnie korzystać będziemy. O warunki, po otrzymaniu pierwszej próby, snadnie się ułożymy.

Panu P. w Szydłowcu powtarzamy to samo, cośmy już tylokrotnie do towarzyszy jego drapiących się na szczyt Helikonu wyrzekli: że lada wierszyk gładko rymowany nie zasługuje jeszcze na nazwę poezji, miernostek zaś drukować nie możemy.

Do innej wprawdzie kategorii poetyckiej należy wiersz *p. L. D. w Żytomierzu*, napisany z serca i zmysłą najpoczeiwszą; za wiele w nim jednak uczuć egotycznych, ażeby dla ogółu, tyle co dla nas osobiście, mógł być zajmującym.

Sprostowanie.

W ostatnim numerze Tygodnika, na str. 443, szpalta druga, wiersz trzynasty od dołu, zamiast 1820, powinno być 1280; w szpalcie zaś następnej, w tymże wierszu, po liczbie 30 opuszczono wyraz *tyśięcy*.

DO LUDZI.

(Słowo na wiatr rzucone).

Ja o wasze sarkazmy i wasze pochwały
Nie dbam! Duszą wszechpiona w życia ideały,
Tam dążę i tam żyję jestestwem swém całém,
Duchem siły i ciałem na wskrós przebolałem.

Żywot mój w Bogu istnieje, chociaż zapoznany;
Duch, potęgą swą całą wstrząsając kajdany
Jakimi smutnej doli ucisło go brzemię,
W locie swym po okowie ciska je na ziemię.

A ciskając, uważa z miłości dla świata,
By żadna z jego oków nie zraniła brata,
Nie ustraszyła nawet, — pyłem nie okryła
I tych z was, których ręka serce me skrwawiła.

O duchu! Nie ustawaj w dążeniu wysokim!
Ramy ziemi ci szczuple: w górze za obłokiem,
Ku gwiazdom jasnym lecąc i krainom mglistym,
Niewidzialnym się staniesz, w sobie przezroczystym.

Tekla Poznanianka.

PAŁAC I KAPLICA

FUNDACYI

HETMANOWÉJ ALEKSANDRY OGIŃSKIEJ
W SIEDLCACH.

Siedlce, miasto leżące na rozległych równinach Podlasia, dawniej gubernialne, obecnie powiatowe, pamiętne jest w dziejach wojenną naradą Augusta IIgo r. 1703 odbytą z hetmanami; kilka tu także odbyło się soborów. W wieku XVI było wsią zwaną Nowe Siedlce, należąca do Stanisława Siedleckiego, któremu Zygmunt I dał roku 1547 przywilej pozwalający zamienić ją na miasto.

Około roku 1650 miasteczko to było własnością Wodyńskich, rodziny znakomitej dostojęstwa i usługami dla kraju. Następnie należało do rozległych dóbr na Podlasiu książąt Czartoryskich. Z rodziny tej Aleksandra Czartoryska, córka księcia Michała kanclerza wielkiego litewskiego, wydana za Michała Ogińskiego hetmana wielkiego litewskiego, otrzymała je w posagu, i rzec można że życie tej bogobojnej niewiasty wślawiło Siedlce, pamięć jęj bowiem do dziś dnia mieszkańcy przechowują ze czcią religijną, a imię jęj, opromienione chwałą dobrych uczynków, przeszło do potomności, wpisane w dzieje niestartemi głoskami prawdziwej zasługi.

Pani ta, zamieszkawszy Siedlce, wzniosła pałac i oceniła go pięknym ogrodem.

Miała ona serce prawdziwie polskie, przeto gościnne; dom jęj bywał zawsze napełniony gośćmi różnego stanu. Zjeżdżały się do Siedlec rodziny z okolicy i niemal z całej Polski, a gdy pałac przepelniony więcęj przybywających pomieścić już nie mógł, najmowano w Siedlcach domki drewniane i tam przemieszkiwano po kilka miesięcy, codziennie w pałacu jadając i bawiąc się; pani hetmanowa bowiem, choć dla wieku i osłabionych nóg w krzesło ją noszono, była tak gościnna, że gdy widziała natłok i wrzawę wokoło siebie, czuła się zdrowszą i weselszą.

O tych zabawach Książnin tak pisze w wierszu do hetmanowój:

Rodak twym wzorem szczęśliwszy,
Sobie i drugim żyć umie,
A cudzoziemiec tu bywszy,
Lepiej o Polsce rozumi.

Lecz nietylko gościnność uwydatnia postać hetmanowój, była ona również dobrodziejką i matką ubogich. Nie mając sama dzieci, brała w swą opiekę nieszczęśliwych i ubogie sieroty, które posażąc wydawała za mąż, podupadłe rodziny wspierała, a młodzieńcom szczodrobliwością swoją otwierała naukowe zakłady. Karpiński, Książnin, Kropiński jęj w części winni byli późniejsze swoje powodzenie. W domu w którym dziś urząd pocztowy w Siedlcach się mieści, miała być wtedy oberża, gdzie, z rozkazu hetmanowój, codziennie darmo rozdawano obiady dla ubogiej szlachty, przybywającej z okolic za interesami do miasta.

Mury pałacu tego za czasów dawniejszych nieu-

stannemi były świadkami szlachetnych czynów zanej tej niewiasty, która „rękę swą otworzyła ubogim, a dłonie wyciągnęła niedostatnim.“

Z odbytych tu festynów najpamiętniejszy był w r. 1783, którym dostojna dziedziczka Siedlec uświetniła bytność w tém mieście króla Stanisława Poniatowskiego, cioteczno brata swego.

Przybywającego wtedy króla do Siedlec, po za miastem witały boginie Ceres i Flora, rzucając mu pod nogi girlandy, kwiaty i snopki zboża; w mieście zaś uilluminowanem idącego pieszo od bram miasta pozdrowiały mowy, huk dział i muzyka. Ogród pałacowy, zdobny w arkady i pilastry, rześnistym jaśniał ogniem; przy drzwiach głównych ogrodu stali Mars i Apollo; nad kolumnadą unosił się geniusz, a w górze na wezgiwaniu leżała korona. Ozdobny ołtarz gorzał rześnistym światłem, nad nim Fama unosząca się w powietrzu, trzymała tarczę z cyfrą królewską, a przy ołtarzu stały geniusze ofiary czyniące.

W czasie kilkodziowej bytności króla w Siedlcach, między innymi festynami urządony był w ogrodzie jarmark *Weneckim* zwany. Przybywającego nań króla przywitali górale pięknie przybrani, z cyframi królewskimi na kaszkietchach, grając na różnych instrumentach i śpiewając:

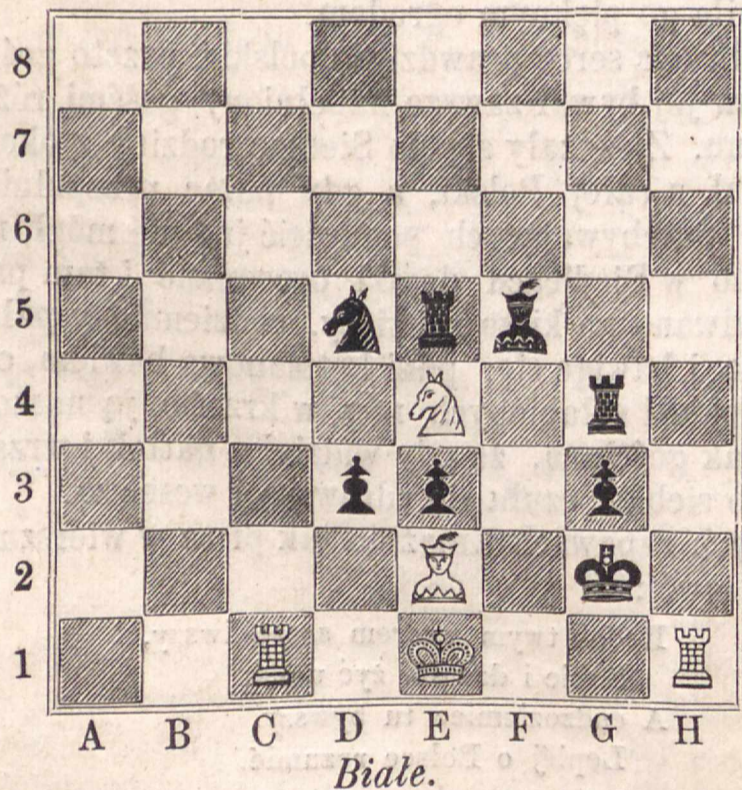
S Z A C H Y.

(Michał... z Infant.)

ZADANIE XXXVI.

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 35.

Białe.

Czarne.

- 1) A 3 — D 6 † . . . 1) C 7 — D 6 biorą.
- 2) F 4 — D 5 2) Jakkolwiek.
- 3) C 1 — F 4 † i mat.

Gdy czarne w 1szym posunięciu biją damę ko-niem E 8, to:

- 2) B 6 — D 5 † . . . 2) E 6 — D 5 biorą.
- 3) F 4 — D 5 biorą † i mat.

Jeżeli zaś pójdą królem na D 8, to:

- 2) F 4 — E 6 biorą † 2) H 6 — E 6 biorą.
- 3) D 6 — D 7 biorą † i mat.

Spieszcie czempredzej, rokoszne dziewczęta!
Spieszcie wraz z nimi rzeźwe pacholeta!

i w niej téż spoczęła. W pośrodku nade drzwiami jest figura świętej Heleny, a pod nią napis tchnący pokorą:

„Twoje to dzieło; cośmy z rąk twoich wzięli, ofiarowaliśmy Tobie“.

Na utrzymanie tej kaplicy (której drzeworyt załączamy) ksiądz Seweryn Pachta Maryan, kapelan hetmanowej, zapisał 18,000 złotych, których z dobrodziejstw domu Ogińskich stał się posiadaczem, z obowiązkiem aby co środa i piątek msze święte w niej się odprawiły, co do dziś dnia zachowano.

Jeden ołtarz kaplicy zdobi piękny obraz Pana Jezusa upadającego pod krzyżem; na ścianach widać wizerunki czterech ewangelistów i wizerunki księcia Michała Czartoryskiego, kanclerza wielkiego księstwa litewskiego, i małżonki jego, rodziców hetmanowej, jako téż jej samiej i jej męża.

Zniszczona przez ogień, kaplica ta odnowiona była przez księcia Czartoryskiego generała ziem podolskich; potem ręką czasu dotknięta, odrestaurowana została przed dwoma laty.

W podziemiach jej spoczywają zwłoki hetmano-

wój w dwóch trumnach; zwierzchnia miedziana, na klucz zamknięta, z napisem:

Tu

leży ś. p. J. W. Aleks. z książąt Czartoryskich Ogińska, hetmanowa wielkiego księstwa litewskiego. Ta pani, wielbiona powszechnie od wszystkich, skończyła bieg życia swego d. 28 sierpnia 1798 roku.

Stać przechodniu i westchnij szczerze za jej duszę!
Była matką dla wszystkich, prawdę wybić muszę.

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 48.

Oręż rycerzowi, rola dla ziemiana, a nauka wszelkim stanom przystoi.